

Józef Mackiewicz

Stosunek narodu rosyjskiego do bolszewizmu po kapitulacji "białych" ujął doskonale Pantelejmon Romanow. Ujął lepiej niż plejady innych pisarzy zarówno rosyjskich, jak obcych. W książce swej, napisanej dawno, bodaj jeszcze w czasach NEPu, pt. Tri pary szołkowych czułek, przedstawił nam inteligencję rosyjską w pierwszym lat dziesiątku po rewolucji.

Niewątpliwie tzw. "inteligencja" jest w gruncie rzeczy szczytowym odzwierciedleniem swego narodu. Nie zmieniają tego żadne spekulacje społeczne. Dlatego bohater powieści Romanowa, Kisliakow, jest właściwie Rosjaninem tout court. Oczywiście, jako inteligent starej daty, przedstawiony w świetle tendencyjnym. Ale jednocześnie przedstawiony w ten genialny sposób, w jaki tylko prawdziwy talent literacki potrafi ubrać swoje postaci. To znaczy w bohaterze powieści czytelnik znajdzie prawdziwy obraz i podobieństwo człowieka autentycznego, a zatem znajdzie siebie i swego znajomego. Rosyjski inteligent Romanowa jest wprawdzie tylko konglomeratem ujemnych cech człowieka w ogóle, ale dlatego cechy te można spotkać właśnie w każdym z narodów. I choć Romanow przedstawił nam Rosjanina, widzimy, że stosunek jego do bolszewizmu wyływa nie ze specyficznych, narodowo rosyjskich cech charakteru, ale właśnie z jego ogólnoludzkich słabości. Stąd wniosek, że stosunek narodu rosyjskiego do rewolucji bolszewickiej bynajmniej nie był inny, niż byłby w tych samych warunkach stosunek każdego innego narodu.

Bo Kisliakow pasuje nie tylko do Moskwy, ale w równym stopniu do Warszawy, Rzymu czy Paryża. A więc: niechęć głęboka do systemu sowieckiego, ale niechęć człowieka zwycięzonego i w dodatku słabego. Taki człowiek boi się i chce żyć. Więc żyje. Ale jak? Usypia własne sumienie, załamuje się, okłamuje samego siebie, czepia się pozorów. Inteligencja antysowiecka, która po pięcioletniej bez mała walce przestała już strzelać, a nie chce się jeszcze pogodzić - a pogodzić musi, bo od tej zgody zależy żarcie, zależy dach nad głową w upaństwowionych mieszkaniach, prymus naftowy, miejsce w kuchni, używanie klozetu, ruble. Trzeba utrzymać kobietę, dzieci, nieraz psa, czasem starą ciotkę. Nie chce pomagać przy "budownictwie socjalistycznym", a pracować musi. Więc szuka pracy... "neutralnej", albo zgoła "narodowej". Szuka przede wszystkim kompromisu.

Świetnym przykładem takiego wyrozumowanego kompromisu może być na przykład praca w muzeum. Właśnie w muzeum. Ono to bowiem nie niszczy, lecz przeciwnie, chroni przed zniszczeniem zabytki przeszłości, tej przeszłości, która jest przeciwstawieniem współczesnego bolszewizmu. Niby to się więc pracuje dla bolszewików, ale właściwie dla konserwacji - narodu... I Kisliakow nie tylko pociesza się tą bzdurą, ale podnosi ją do poziomu tzw. "realnego programu politycznego". Stąd już krok tylko, nie przez dzielącą przepaść, ale mały rynsztok, cuchnący ściek, do załgania ostatecznego, oportunistycznego, do czysto ludzkiej, słabej, nikczemnej zdrady dotychczasowych przekonania. Oto jaką drogą kroczył Kisliakow.

Ponieważ jednak zaczęliśmy od inteligencji rosyjskiej, mógłby ktoś powiedzieć w jej obronie, że rewolucja bolszewicka była wówczas bądź co bądź rewolucją rosyjską i dlatego inteligencja rosyjska (naród rosyjski) nie miała do czynienia z wrogiem zewnętrznym, lecz wyłącznie z wewnętrznym; że walki trwały kilka lat, a w tym czasie, o którym pisze Romanow, nikt już na świecie o sprawy Rosji sporu politycznego nie prowadził.

Trochę inaczej rzecz się miała z inteligencją polską, zaskoczona najazdem bolszewickim w latach 1939-1940. Wszystkie dane przemawiały za tym, aby się po tej inteligencji spodziewać ostrej antybolszewickiej reakcji. Inteligencja polska, bardziej niż inna na świecie, a w każdym razie nie mniej niż w 50%, wyrosła z tradycji szlacheckiej, w 25% przywiązana do tradycji religijnych, w 95% związana tradycjami walki z Rosją - uformowała się w Polsce odrodzonej z tej walki, z jedynej wojny jaką nowa Polska prowadziła przed r. 1939, a była to wojna z Sowietami. Indywidualne curriculum vitae naszej inteligencji upstrzone było krzyżami walecznych, rangami wojskowymi, zasługami i ranami, a wszystkie zdobyte w walce z Sowietami, w walce, w której ściągnięto na ziemię nawet wolę Bożą w postaci "cudu nad Wisłą".

Wreszcie cała inteligencja polska uznała po klęsce 1939 gen. Sikorskiego za wodza prawowitego rządu polskiego. O ile zaś mam sądzić na podstawie cech, które nas dochodziły wówczas w Kraju, miał on w r. 1940, jeszcze w Angers, oświadczyć, że Polska znajduje się w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim.

Gdy się więc podsumuje wszystkie okoliczności, zdawałoby się tak na oko, i tak na zdrowy polityczny horoskop, że nigdzie poza swymi granicami Sowiety nie mogą spodziewać się równie zaciętego, nienawistnego, rozjuszonego wroga, jak właśnie w polskiej, świadomej inteligencji. Można się było spodziewać, że inteligencja polska wejdzie do piwnic, albo legnie na dachach domów, i co najmniej z większym przekonaniem stamtąd razić będzie bolszewików, niż to czynili petersburscy gorodowje w roku 1917.

W latach pierwszego najazdu nie zaszło nic podobnego, raczej wręcz odwrotnie. Nie będę tu wspominał o pojedynczych epizodach bohaterstwa, o słabiotkich zaczątkach organizacji podziemnych, o kilku pisemkach, bo dla wyrównania musiałbym rzucić na szalę bardzo już jaskrawe epizody przeciwne. Mówię więc jako o przeciętności. Przeciętność zaś inteligencji polskiej zachowała się właśnie tak, czy też mniej więcej tak, jak Kisliakow Pantelejmona Romanowa.

Gdy na naszych starych "kresach" wybuchła w roku 1941 wojna niemiecko-sowiecka i gdy po upływie dwóch dni przyszli Niemcy, ów generalizowany przeze mnie "inteligent polski" wyszedł na ulicę znów jako prawdziwy, szczerzy patriota polski, wróg - Niemców. A po kilku miesiącach widzimy go w wirze bohaterskiej walki o wyzwolenie ojczyzny. Wydawał tajne pisma, strzelał do Niemców, narażał się, ryzykował, wpadał. Tysiącami ginął w podziemiach Gestapo, nie gorzej z tamtej niż z tej strony Bugu-Narwi. Jest więc głęboka, tajemna różnica pomiędzy zasadniczym typem dwóch najeźdźców i stosunku do nich?! Ale nie o niej będę tym razem pisał, tylko o "kisliakowych".

Właśnie wtedy czytałem Tri pary szołkowych czułek, gdy trzeba było samemu "przekuwać" się na nowy byt i w ogóle: jak tu żyć? Ciągłe spozierając po ścianach i szafach, szukaliśmy z żoną co by tu sprzedać... Oczywiście, nie garnek do gotowania kartofli, raczej już wiszącą na ścianie karabelę.

Pochwa kuta w słaboprocentowym srebrze, niestara, z czasów stanisławowskich, ale może pójdzie? Zawinąłem szablę w płachty kilku numerów Litieraturnoj Gaziety, obwiązałem sznurkiem i poszedłem do Wilna. Poniosłem swą karabelę do nowego muzeum sowieckiego, które mieściło się w gmachu poratuszowym na ul. Wielkiej. Wszystko co nastąpiło bezpośrednio potem, to jakby dalszy rozdział książki Pantelejmona Romanowa, z akcją przeniesioną żywcem z Moskwy do Wilna.

Powiedziałbym nawet, że rozdział kluczowy, może podwójny, bo tu już zastałem Kisliakowych nie jednej narodowości, jak w Moskwie, a od razu ich przekrój zapożyczony jednocześnie i ze społeczeństwa polskiego i litewskiego. Tylko dyrektor, niewidzialny, był firmowym, starym bolszewikiem. Personel składał się z b. profesora Uniwersytetu Kowieńskiego, eks-nacjonalisty,

z b. dyrektora gimnazjum litewskiego w Wilnie, eks-klerykała, z b. polskiego kapelana wojskowego i eks-literata obozu prorządowego w jednej osobie (oczywiście bez sutanny), z b. dziennikarza polskiego obozu sanacyjnego, z profesorów dawnego Uniwersytetu im. Batoiego i lektorki tejże uczelni, z hrabiego Ł. i z jeszcze kilku osób podobnej kategorii.

Na dole, w westybulu, b. dziennikarz polski, zresztą znany złośliwiec, złożywszy dłoń w kształt trąbki, wołał:

- Panie hrabio, panie hrabio!

Trzymając swą karabelę w Litieraturnoj Gazietie, jak zwinięty parasol pod pachą, spojrzałem w górę. Natychmiast: "tup-tup-tup-tup", po schodach pseudomarmurowych zbiegł energicznie hr. Ł. z wyrazem wewnętrznej irytacji i zbliżywszy twarz do twarzy dziennikarza, wycedził świszczącym szeptem:

- Proszę pana, ja pana tyle razy o to prosiłem...

- O co chodzi? - zapytał tamten ze złośliwym zdziwieniem, robiąc krok w tył.

- Proszę pana... proszę przestać mnie nazywać hrabią. Poszedłem na górę, witany raczej z zakłopotaniem, chociaż ci ludzie - powtarzam za Kisliakowym - nic, ale absolutnie nic złego nie robili, raczej - przeciwnie. Pod wielkim portretem Stalina profesor uniwersytetu, po profesorsku niezgrabnie, pomagał woźnemu w przesuwaniu jakiejś skrzyni. Karabeli mojej nie oglądano, bo dyrektor był bardzo zajęty. Eks-klerykał, przechodząc na palcach koło jego gabinetu, sugerował szeptem, że zdaje się rozmawia z samą Moskwą przez telefon.

W życiu chyba nie spotkałem czegoś równie identycznego! Rozmów nie potrzebuję powtarzać, gdyż każdy może przeczytać je w książce Romanowa, a nie chcę być posądzony o plagiat.

- Są rzeczy wieczne! - targał mnie za guzik we framudze okna prof. Mieczysław Limanowski,

który znalazł się w muzeum, aby coś załatwić. - Tu na ścianie wisi Ruszczyk! Ta sztuka Ruszczyca... - zapalał się. - Sztuka jest przecie... - Ale nie w Sowietach.

- Ccccccicho! Przecież mówiłem, że dyrektor rozmawia z Kownem - wyskoczył eks-klerykał.

- Mówił pan, że z Moskwą.

- Proszę pana - odezwał się ostro - jaką pan ma właściwie sprawę?

- Chciałbym sprzedać karabelę. - Nie kupujemy.

No, skoro "my" nie kupujemy... "My", to znaczy kto to "my"? - chciałem jeszcze zapytać, ale prof. Limanowski tym razem już szeptem prawił mi coś dalej o teatrze jako sztuce nadrzędnej> ponadwymiarowej, zdaje się. Absolutnie się z nim nie godziłem i tak wyszliśmy razem, dysputując, na ulicę, na wprost ogromnego pomnika Stalina z Leninem, których wielkie, pokraczne buciska wystawały z cokołu, jakby zaraz miały nadeprnąć.

- Więc co pan chce! - zaperzył się Limanowski. - Żeby podpałił Pohulanę?! ["Pohulaną", od dzielnicy tej nazwy, przezywano w skrócie teatr polski, który się tam mieścił.]

Nagle wyprysnął za plecami jeden ze znanych aktorów, robiąc rozpaczliwy ruch ręką.

- Cccicho! Profesorze! Na miłość Boską! - i wmieszał się do dyskusji. - Moim zdaniem ani tak, ani tak. Po prostu Perzanowska [która została kierownikiem teatru po usunięciu przez bolszewików dyr. Kielanowskiego] świństwo robi, że pakuje na scenę ciągle te moskiewszczyzny i żydowszczyzny. Grajmy rzeczy polskie. Gdy już mamy być komunistami, bądźmy przynajmniej komunistami polskimi, he, he, he...

Spojrzałem na profesora: jakby go w tej chwili ktoś lekko po karku zdzielił. Zgarbił się, założył ręce do tyłu i szedł już bez jednego słowa, wysunąwszy naprzód swą charakterystyczną głowę, którą Nowaczyński zwykł był porównywać do głowy zimorodka, z takim wyrazem dziecinnej bezradności, że w pewnej chwili miałem ochotę poprosić aktora, by pottrzymał moją karabelę, a sam objąć obydwoma rękami, uścisnąć i pocieszyć jakoś człowieka, który u schyłku życia wkroczył w typowy co się zowie po rosyjsku - tupik.

Ale jak go pocieszyć, ale jak?

11 listopada 1940, więc w dniu polskiego święta narodowego, zima próbowała przyjść wcześniej, ale jak to bywa w naszym kraju, odepchnął ją kontratak jesieni, która, wiadomo, niełatwo ustępuje. Na polach snuła się mgiełka i zjedzone przez nią śniegi. Wrony krążyły nad rozkutyimi z lodu kałużami. W mieście zaś było wilgotno wilgocią murów. Rankiem przed Ostrą Bramą, kościołem św. Kazimierza, tu i ówdzie na placach i w poprzek ulic, postawiono strażę milicji pieszej i konnej. Ale konie stały ze spuszczoneymi łbami, przeżuwając swą ranną porcję owsa, a milicjanci rozgrzewali się, bijąc rękami na krzyż, poziewając od czasu do czasu. Mglisty ranek ciągnął się jak glista. Czego się spodziewano? Rozruchów, manifestacji patriotycznych? Chodnikiem szła młodzież do szkół jak w pierwszy lepszy dzień powszedni, przeważnie jeszcze poubierana w stare, polskie mundurki. "Młody las" zastrajkował, wedle poufnych danych, w liczbie około 5%. Z podniesionymi kołnierzami jesionek sunęli nauczyciele.

- Sowiecki pedagog?! Ale co też pan wygaduje! Ja wykładam geografję.

- A ja tylko arytmetykę, zoologję, botanikę czy fizykę. Nauka jest przecie...

- Ale nie w Sowieciach.

- Nie trzeba gadać o rzeczach, o których się nie wie, proszę pana. Najważniejsze jest przetrzymać i utrzymać polski stan posiadania. Oto jest zadanie... Zresztą przepraszam... podbiegł dosyć godnym truchcikiem do damy, która wyjrzawszy z drzwi gabinetu szkolnego,

dawała mu ręką znaki:

- Obywatelu profesorze, nastąpiło małe przesunięcie. Dziś godzina konstytucji stalinowskiej będzie od pierwszej do drugiej, więc może obywatel swoją geografiją przesunie...

- Ależ doskonale, doskonale, obywatelko dyrektorze... Nie dosłyszałem dalej, gdyż właściwie miałem interes do kierowniczkii sąsiedniej szkoły powszechnej.

Była to szkoła ongi reprezentacyjna, wzorowa, pokazowa, zwożono do niej wycieczki. Kierowniczkia, młoda jeszcze, pełna zapału i energii właściwej pewnego typu pedagogom w spódnicy.

- Walczę - mówiła, odkładając pióro - walczę z tymi panami z komisariatu oświaty, którym się wciąż zdaje, że Wilno leży jeszcze w starej "smetonowskiej" Litwie. No niech pan zobaczy! - wypchnęła mnie na korytarz.

- Na co mam patrzeć? - spytałem rozglądając się po widnym, szkolnym korytarzu, którego ściany pełne były fotografii, plakatów, wykresów.

- No, nie widzi pan tych wszystkich haseł i plakatów?

- Widzę, owszem. Ale to dziś wszędzie tak samo wygląda. - Ach, nie o to chodzi! Ale widzi pan, że wszystkie one są w języku litewskim! A przecież, proszę pana, procent dzieci litewskich jest po prostu znikomy w porównaniu...

- Zaraz, zaraz, ale ja nie znam języka litewskiego. Proszę mi powiedzieć, co jest napisane na tych plakatach i afiszach litewskich, które by pani chciała zamienić na polskie.

- No wie pan, takie tam, różne... - Ale co mianowicie?

Okazało się, iż napisy zawierają hasła, że życie w Sowietach jest najszczęśliwsze, że teraz nastąpi prawdziwa wolność, a w dawnej Polsce i Litwie była pańszczyzna, że dziecko jest przyszłością wolnych narodów Związku Radzieckiego, że ojcem wszystkich dzieci i najmądrzejszym nauczycielem jest Stalin. Wizerunek jego z dzieckiem na ręku wisiał... boję się przesadzić, ale zdaje się na starym haku, z którego zdjęto obraz Matki Ostrobramskiej.

- Więc dlaczego pani chce, by to było napisane nie po litewsku, lecz po polsku, by to dzieci polskie miały czytać? Mnie się zdaje, że lepiej, by to było napisane nawet po chińsku, byleby nikt tego paskudztwa nie mógł odcyfrować! Moim zdaniem...

- Cccchicho!.. Ale z pana też gorączka. Jak można tak głośno wykrzykiwać. Widzi pan, bo ja bym jednak chciała, żeby to, bądź co bądź i mimo wszystko, była szkoła polska.

Pod wiosnę już 1941, w okresie najcięższego zwożenia śniegu z ulic, zachodziłem, często jeszcze nie umyty, na wieczorną partię szachów do kawiarni Rudnickiego. W tym czasie liczba scen polskich w Wilnie zwiększyła się znacznie. Na Pohulance grał teatr dramatyczny; w gmachu "Lutni" po dawnemu operetka; opodał, również przy al. Lenina (dawna Mickiewicza) teatrzyk Jaksztasa, Zejmówny i Comp.; Janusz Minkiewicz prowadził swą "Ksantypę"; wreszcie powstała scenka pod kierownictwem ś.p. Józefa Batorowicza do spółki z pewnym reżyserem. Ten to reżyser podszedł do mnie w kawiarni i powiada:

- Co się redaktor będzie męczył z tym brudnym śniegiem. Ja bym miał dla pana właściwszą robotę.

- Mianowicie? - zapytałem, wpatrzony w deskę szachową.

- Wie pan, chodziłoby o to... Żeby z naszych klasyków, no, powiedzmy z jakiegoś Żeromskiego, Orzeszkowej, wybierać pewne ustępy i przerabiać na aktówki. Oczywiście trzeba by dobrać odpowiedni tekst, to znaczy, jakby to powiedzieć: najbardziej takie lewicowe, czerwone, słowem, odpowiadające duchowi czasu... Pan mnie rozumie?

- Rozumiem doskonale - odpowiedziałem - ale się nie podejmuję.

Mój partner, pochłonięty całkowicie grą, podchwycił bezmyślnie, jak to bywa przy szachach, ostatnie słowa i zapatrzony w ruch, bębniąc łbem zabranego konia w blat, powtarzał machinalnie:

- Rozumiemy, mistrzu, rozumiemy mistrzuniu, rozumiemy dobrze, rozumiemy... szach!

Wydaje mi się, że rozumiem to do dziś dnia doskonale. Gdy słucham, rozmawiam lub czytam o tym wszystkim, co się teraz w Kraju dzieje, mam nie tylko wrażenie, że to już wszystko raz było, ale po prostu jakbym patrzył w książkę, której konspekt dokładny, spis treści rozdziałów poznałem zawczasu. Różnicę zasadniczą (bo są drobne) widzę tylko w terminie. Co w latach 1939-1941 rozłożono we wschodniej Polsce na etapy miesięcy, nieraz tygodni, teraz rozkłada się na lata.

Ale rozumiem tę sprawę trochę inaczej, niż się ją zazwyczaj ujmuje. Mianowicie w ten sposób, iż ważne jest nie tyle działanie sowieckie, ile oddziaływanie, które się częściej wstydliwie przemilcza. Ważniejszy jest nie typ akcji, ale reakcji. Bo o ile dla pierwszej można dobrać analogie i wzory z przeszłości, o tyle druga jest rzeczą zupełnie nową w historii świata. Dlatego nigdy nie pozwolę sobie zawrócić głowy różnymi starymi formułami, którymi się zasypuje dziś literaturę, publicystykę i historiozofię. Oto jest powód, dla którego podjąłem kiedyś na łamach "Wiadomości" (nr 57) zagadnienie: Rosja czy Sowiety? Moim zdaniem, nic, w interesującym nas zagadnieniu, nie mają do gadania Piotrowie, nawet najwięksi, i wszystkie Jekatieriny do kupy wzięte. Ci, co się przy tym upierają, zacieśniają wielkie zagadnienie natury ludzkiej, nazwijmy je patetycznie: duszy ludzkiej, do "duszy rosyjskiej", do historii jednego narodu, co do której zresztą, jak co do wszystkich historii, nie mamy pewności, czy jest ścisła. W postaci fenomenu bolszewickiego przyszła rzecz zupełnie nowa, po prostu: nowa. Nie ma celu, szkoda

czasu i w ogóle ze szkodą własną jest wmawiać w siebie, że to stara. Powiedziałbym nawet, że wmawiać to samo w innych jest ze szkodą wszystkich narodów, które mogą być wystawione na tę próbę. Chcemy czy nie chcemy, musimy się pogodzić, że mamy do czynienia z czymś nowym. Ale rzecz właśnie w tym, że nie chcemy. Dlaczego?

Istnieje po temu kilka przyczyn, ale jedna z nich tłumaczy się bardzo prosto. W ten sposób mianowicie, że szalę przeważa ogromny stuletni balast erudycji, gotowych form, wzorów, określeń, misternych konstrukcji, które wyglądają bardzo mądrze, a które stanowią nieraz tzw. dorobek życia naszych specjalistów od Rosji, od Wschodu w ogóle. I nagle mówi się im: "wyrzuć to, nic nie wartę!" Przecież człowiek ma już siwe skronie, czy można mu się dziwić, że za nic nie chce? Przywiązanie do starych rupieci wynika po prostu z sentymentu. Fala uchodźców ciągnie je ze sobą nawet w czasie największych przewrotów dziejowych, chociaż w nowym życiu nie znajdą zastosowania, a stanowią niepotrzebny balast. Takim w gruncie rzeczy niepotrzebnym balastem wydaje mi się czasem pewna kategoria przestarzałej erudycji. Należałoby ten przeogromny toboł wyrzucić właściwie za burtę, ale po pierwsze, szkoda, po drugie, można na nim jeszcze trochę posiedzieć na pokładzie z miną "specja".

Największy respekt mam dla nauki, dla wiedzy ścisłej w ogóle, ale dalibóg, aby się zapoznać z dominującym dziś zagadnieniem: jak się bolszewizm w Kraju naprawdę - robi...? - nie trzeba się grzebać w trumnie Iwana Groźnego, ś.p. opryczników, czy przywoływać na świadków wszystkie duchy Azji. Raczej już zapoznać się z wcale współczesną argumentacją pana Kisliakowa w Moskwie albo jeszcze prościej, panów z Dziś i Jutro w Warszawie, bo to nie wymaga nawet znajomości języka rosyjskiego.

„Wiadomości”, 1949 nr. 14 (157).

Nasz Czas 21/2003 (610)